

CZYŻBY STOWARZYSZENIA „WZAJEMNEJ ADORACJI”?

Znam sporo ludzi, którym życzyli przyjaciele przed ich wyjazdem do Rzeszowa „nakładli do głowy” mnóstwo przetróg i ostrzeżeń w rodzaju: Co? Do Rzeszowa jedziesz? Dziura nie miasto. Czeka cię tam uświęcona tradycja bezadzielną nuda, intelektualna pustka i niezbyt necna zabawa w „rozbijanie murów za pomocą słowy”.

Po czym owi życzyli przyjaciele składali „skazańcom” serdeczne wyrazy współczucia i dodawali pocieszająco — „no ale ratuje Cię samolot. Godzina lotu i jesteś w Warszawie”.

Tak „nastawieni” przyszłi mieszkańcy wojewódzkiego miasta Rzeszowa nie zawsze umieli wyzwolić się z uprzedzeń, nie zawsze potrafili dostrzec wielkich możliwości — tak jest wielkich możliwości — do intelektualnego wyzicia się w tym budzącym się do życia mieście przyszłości.

Wiem, że znajdzie się wielu oponentów, którzy kierując się „zrozumiałym patriotyzmem lokalnym” powiedzą — „tak mówiono o Rzeszowie przed laty”. Teraz sytuacja się zmieniła. Mamy za sobą ogromne osiągnięcia. Na przykład... i tu nastąpi pokaźna lista rzeczywiście ogromnych zmian w życiu gospodarczym i kulturalnym miasta. Nie przeczę. Osiągnięte też nie potrzebuje wylizywać.

Zainteresowani mogą o nich przeczytać w 2 nr. „Życia Kulturalnego Ziemi Rzeszowskiej” w artykule Juliusza Petrusa pt. „Wielkie przemiany”.

Ograniczę się tu do powtórzenia znanej prawdy: „w dziewięcioleciu stworzone zostały podstawy do rozpoczęcia wielkiej ofensywy kulturalnej stworzone zostało niezbędne minimum warunków materialnych”. Rzecz w tym, by warunki te i będące w naszej dyspozycji środki jak najlepiej i jak najlepiej wykorzystywać.

A sprawa ta niestety nie przedstawia się zbyt różowo. Przyjrzyjmy się chociażby działalności istniejących u nas związków twórczych. Jest ich kilka — Stowarzyszenie

Polskich Artystów Teatru i Filmu (SPATIF). Stowarzyszenie Architektów Polskich (SARP), Związek Artystów Plastyków i Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich.

Oddział SPATIF przy Państwowym Teatrze Ziemi Rzeszowskiej istnieje wyłącznie po to, by przysyłać składki członkowskie do Zarządu Głównego. Od tego się zaczyna i na tym się kończy cała działalność tego „twórczego” stowarzyszenia, posiadającego piękny statut, chwalebne obo-

Zdzisław Jagielski

wiązki i niemałe, lecz zupełnie niewykorzystywane możliwości.

O „bezholowiu” w SPATIF rzeszowskim mówi chociażby i to, że nikt z jego członków nie czuje się odpowiedzialny za prace stowarzyszenia.

Nie inaczej „działa” SARP. Co prawda niedawno SARP rzeszowski przekształcił się z kół Oddziału Krakowskiego w samodzielną organizację, ale poza zmianą instancji zarządu nic się w praktyce nie zmieniło.

Stosunkowo najwięcej żywotności przejawia Związek Plastyków. Niestety owa żywotność wylądowała się niemal wyłącznie w równie zażartych jak bezproduktywnych sporach między „starszymi” i „młodszymi”.

By — gdyby to były spory o kierunek w sztuce, o problemy artystyczne. Ale gdzie tam. U rzeszowskich plastyków spory toczą się wokół tego „Kto, gdzie, kiedy, kogo i jak... wystrychnął na dudka”.

Toteż o niejednym plastyku rzeszowskim krąży taka anegdota. — „Co stworzył ten plastyk? — Legenda, że coś stworzył”.

Niedaleko od wymienionych już związków twórczych odbiega działalność Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Dziennikarze — uderzmy się w piersi — zamknęli się na własnym podwórku, opuszczają

jąc je tylko jeden raz z okazji... tradycyjnego „Balu prasy”. Przyznajmy, że jest to naprawdę bardzo niewiele.

W tym omówieniu pominiemy te zadania związków twórczych, które należą, że tak powiem, do działalności czysto zawodowej jak np. szkolenie, organizowanie twórczych dyskusji wewnętrznych, wycieczek, wystaw itp.

Chodzi nam przede wszystkim o to jak włączyć, niewątpliwie wielkie siły stowarzyszeń twórczych, do pracy nad rozwinięciem życia intelektualnego i kulturalnego w mieście i województwie, o znalezienie wspólnych metod działania.

Nie jest dla nikogo tajemnicą, że jedynym bodajże miejscem spotkań tzw. świata intelektualnego jest... ponura, zadymiona i ciasna kawiarnia „Tatrzańska”. Poza tym nie stworzyliśmy jeszcze innych tradycji, innych możliwości kontaktów towarzyskich, wymiany poglądów i zainteresowań.

A przecież każdy ze związków twórczych może także tradycje stworzyć. Cóż stał na przeszkodzie w urządzeniu klubów aktorów, plastyków, architektów czy dziennikarzy? Niekoniecznie muszą to być kluby we własnych, wytworzone w urzędowych lokalach. Można na z powodzeniem stworzyć takie kluby przy WDK, Domu Kultury WSK, lub... jakże mało wykorzystywanych salach WRZZ.

Każde ze stowarzyszeń twórczych ma wszystkie warunki ku temu, by organizować wieczerze dyskusyjne, wieczorki towarzyskie, a nawet i imprezy artystyczne i literackie.

Czyż np. architekci nie mogliby organizować spotkań z mieszkańcami nowych bloków? Usłyszeliby na pewno wiele pożytecznych uwag i do wiedzieliby się, że i inni ludzie pasjonują się problemami architektury.

To samo, rzecz jasna dotyczy i innych stowarzyszeń. Słowem — chodzi o to, by stowarzyszenia twórcze przestały być martwymi tworam, by wyszły z ciasnych ram organizacyjnych na szersze forum



Wychylając się z okna przygarniam pogodę, z pory zawczesnej wróżę sobie uśmiech. Dziewczęta obwieszają wiosenną modę i wszystko jest piękne jak w późnie: kaluża pełna błasku, wystawy ze słodyczami i winem, w Delikatesach cytryny. Jeszcze nie zatoczyły światła młode kwiaty, jeszcze starzy oczekują zimy, a ktoś już mówi: kajak weź na raty i zaraz dodaje żartem: sprzedaj natychmiast narty. Z ciepła chciałbym własny dzień zbudować, niech będzie jak słońce i ulice i wiersz mój niechaj wyjdzie z kamienicy odziany w najłżejsze słowa.

JERZY HORDYNSKI

publiczne, by poczuły się współodpowiedzialne za wypełnienie owej intelektualnej pustki, która niestety wciąż jeszcze istnieje.

Zyjemy w okresie bujnego rozwoju kultury i sztuki intelektualnych. Życie dostarcza nam codziennie nowych ciekawych problemów do przyswajania i wyjaśnienia. Wzrastający poziom kulturalny ludności stawia coraz wyższe wymagania organizacjom twórczym, żąda od nich pomocy w organizowaniu i kierowaniu zwiemi kulturalnym i towarzyskim.

Dotychczasowe zasklepienie się związków twórczych w swoich skorupach jest jedną z przyczyn swoistego zastoju w życiu intelektualnym miasta. Czas już rozbić zdecydowanie te sztuczne skorupy.

Oczywiście nie od razu osiągniemy przełom. Długoletnie zaniedbania sprawiły, że prace organizacyjną musimy zacząć od podstaw. Dlatego

też nie ludzimy się wcale, że już pierwsza inicjatywa spotka się z entuzjastycznym przyjęciem, że wystarczy urządzić wieczór dyskusyjny np. o architekturze rzeszowskiej; a już „przełamany lód”.

Sytuacja wymaga od nas cierpliwego budowania nowych form współzycia kulturalnego, stopniowego przyciągania ludzi i umiętelnego rozbudowania zainteresowań. Nie ulega jednak wątpliwości, że stworzenie kilku ognisk kulturalnych jakimi mogą i powinny być kluby związków twórczych, będzie pierwszym krokiem do ożywienia ruchu intelektualnego.

Wyobraźmy sobie taką sytuację: oto przeciętny obywatel o przeciętnych zainteresowaniach intelektualnych głośliwie się nad rozwiązaniem takiego problemu: gdzie pójść? Czy do dziennikarzy na dyskusję o estetyce literatury współczesnej, czy do klubu ak-

torów na wieczór poezji Gałczyńskiego, czy do plastyków na projekcję filmu o Picaso, czy też do architektów na wieczorek towarzyski poświęcony dyskusji nad perspektywicznym planem rozwoju miasta.

Mając taki wybór obywatele chętnie zrezygnują z „nasiadówki” w „Tatrzańskiej” — „kwatěrki” w „Rzeszowskiej”, czy innej tego typu „atrakcji”.

Powiedzmy sobie otwarcie — taki nawet intelektualnych rozrywek na razie jeszcze nikomu „nie grozi”. Nasze związki twórcze nie rozwinęły jeszcze skrzydeł. Może Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich wystąpi z pierwszą inicjatywą, która stanie się owym podmuchem ożywczego wiatru i pomoże innym związkom twórczym w rozrostowaniu skrzydeł? A wtedy uda się na pewno rozbić „zaczarowane koło” stowarzyszeń „wzajemnej adoracji”.

UNAS w kraju nie ma miejsca na prywatną inicjatywę w zakresie prawa; to jest właśnie łamanie praworządności, takie wymierzanie sprawiedliwości na własną rękę. Napastnik i awanturnik, działający, jak mu się wydaje, w celach szlachetnych, pozostaje w świetle prawa awanturnikiem i napastnikiem. Łamanie prawa, nawet w najlepszych intencjach, będzie z całą surowością karane”.

Słowa te, zapisane na końcowych kartach „Złego” — tyrmandowskiej epopei przestępczego świata Warszawy — stanowią nie przewodnią w labiryntach mniej lub więcej prawdopodobnych, raz bardziej, to znowu mniej udanych historii i przgód, rozsypanych na 679 stronach książki. Przewodnia ta nie ma prowadzić do jednego założenia: nikt nie może naruszać spokoju publicznego ani na własną rękę wymierzać sprawiedliwości społecznej.

Czy dzieło odpowiedziało zamiarowi — to jedna sprawa; czy podstawowe założenie powieści jest słuszne — to druga. Zaczniemy od tej ostatniej.

Słuszną jest rzeczą postawienie praworządności i przestrzeganie jej jako naczelnej zasady naszego życia społecznego — i nie może być w tym względzie żadnej dyskusji. Bardzo słuszną jest też potępienie wszelkiej partyzantki w wymierzaniu sobie czy innym sprawiedliwości, inaczej mówiąc anarchii. Pewnego rodzaju zastrzeżenia budzi natomiast przekre-

ślanie wszelkiej „inicjatywy prywatnej” w tępieniu zła i przestępstwa; do przeciw swego rodzaju „inicjatywę prywatną” jest opinia społeczna, znajdująca swój wyraz i na różnego rodzaju zebraniach, i na łamach prasy, co pomaga w utrzymaniu porządku powołanym do tego

czynnikom. Współdziałanie całego społeczeństwa w wypadku naruszenia spokoju publicznego przez bandytę czy chuligana jest objawem zdrowej reakcji, całkowicie zgodnej z zasadami praworządności. W powieści Tyrmanda granica pomiędzy tego rodzaju inicjatywą społeczną, a partyzanckimi wystąpieniami niepowołanych, samozwańczych stróżów prawa jest płynna i nieuchwytna, niemal tak jak granica przebiegająca pomiędzy chuliganstwem, a bandytyzmem. „Ja nie wiem, gdzie i kiedy kończy się chuligan, a zaczyna się zwykły bandyta” — słusznie stwierdza Tyrmand. Ale równocześnie nie dostrzega też, gdzie kończy się „inicjatywa prywatna” dziennikarza Kolanki czy doktora Haleskiego w zwalczaniu chuliganerii,

zaczynając granicę pomiędzy ich działalnością a partyzantką „Złego”. Powieść „Zły” jest obecnie najbardziej czytana i dyskusyjną książką. Składają się na to najrozmaitsze przyczyny: posmak sensacji i kryminału, bolesny i nabrzmiały do ostentacyjnych granic problem chuligan-

POROZMAWIAJMY PARTYZANCI SPRAWIEDLIWOŚCI SPOŁECZNEJ (Na marginesie powieści L. Tyrmanda — „Zły”)

ri, różnego rodzaju przestępstwa i zbrodni, wykrywanych i coraz częściej opisywanych na szpaltach prasy, jak chociażby historia Paramonowa — jednego z takich warszawskich „kozaczków”, o których pisze Tyrmand — czy długofalowa, zbrodnicza działalność przestępcy i mordercy Mazurkiewicza, potencjalnego kuzyna „prezesa” Merynosa — po mieście skrytobójstw i po kądzieli mactwa.

Doskonale uchwycony został klimat Warszawy w okresie ostatnich kilku lat; warszawskich „ciuchów” kształtujących modę sezonu i model elegancji noszących „wąski spodnie” opadający na „zamszaki”, warszawskich kawiarni i knajp, w których wylegają się wielkie zbrodnie i wybuchają nożownicze porachunki,

warszawskich „spółdzielni”, kryjących za swą uspołecznioną fasadą najstraszliwsze zakamarki „prywatnej” inicjatywy wszelkich metów społecznych i rekinów przestępczego świata. Opisy warszawskich plwoni i podziemi, w których dzieją się nieprawdopodobne historie, „gołębniki”

warszawskich ruin i pełne tajemnic wnętrza warszawskich bram, klatek schodowych i podwórzy, w których gnieźdzą się ostatni Mohikanie „inicjatywy prywatnej” odtworzone zostały nie tyle z naturalistyczną wiernością, co z autentyzmem w uogólniającej skali. Grubą przesadą natomiast jest uogólnienie hasających rzekomo bez przestanku dzień i noc po pryncypalnych nawet ulicach Warszawy różnego autoramentu „kozaczków”.

Klimat chuligański wybruków charakterystyczny jest nie tylko dla Warszawy, ale i dla innych miast naszego kraju. Walka z tym klimatem i jego konsekwencjami toczy się nie tylko w stolicy, ale w każdym wojewódzkim i powiatowym mieście. Walka o spokój publiczny, o prawo-

rządność, walka toczona przez powołane do tego czynniki i przez samo społeczeństwo. Odczytany w ten sposób „Zły” spełnia dobrze zadanie, stawiając problem walki z przestępczością w całej jasności i otwartości jej faktów.

Abstrahując od literackiej oceny utworu, który posiada liczną parantelę zarówno wśród arcydzieł („Nędznicy” — Wiktor Hugo) jak i wśród sensacyjnych brukowych utworów (książki Marczyńskiego), pomijając schematyczność w przedstawieniu „ograniczonego” milicjanta i „genialnego” detektywa-amatora, nie analizując szczegółowej charakterystyki występujących w tym gangsterskim eposie osób (plejada żywych, z krwi i kości przedstawicieli przestępczego świata, paupierowość pozytywnych bohaterów i ocerowanie w zambul postaci kobiecych) — należy stwierdzić, że „Zły” ugodził i to celnie, w sam nerw naszego dzisiejszego dnia, poruszył wrzód nabrzmiały od dawna na ciele naszego społeczeństwa.

Dlatego też „Zły” jest książką, której nie można przemilczeć ani przejść obok niej obojętnie. Jest książką, która należy właściwie odczytać i wyciągnąć z jej kart odpowiednie wnioski: trzeba tępić zło i wszelkie przestępstwa bandytyzmu czy chuliganstwa metodami praworządnymi, bez „inicjatywy prywatnej” i partyzantki, ale za to przy poparciu i udziale całego społeczeństwa.

A. CZERMIŃSKI

JUBILEUSZ STEFANA MICHUŁOWICZA

(50 lat pracy aktorskiej)



STEFAN MICHUŁOWICZ w sztuce „Pieśń nad pieśniami”

ny przez Pawlikowskiego imponował swoją słuszną linią artystyczną, skupiał znakomitych reżyserów, wytrawnych aktorów, słowem, niby magnes przyciągał do siebie młody, utalentowany narybek aktorski.

Decydowało o tym duże środowisko twórcze literatów, malarzy, a w szczególności ambitna postać dyrektora Pawła Młokowskiego, który szczególnie troską otaczał repertuar. Ze sceny rozbrzmiewały wówczas słowa Mickiewicza. Słowackiego. Wyspiańskiego.

Ale dyrektor Heller szczerze zatroskany o dobór właściwej kadry artystycznej posiadał tę niepospolitą i rzadką cechę, dziś prawie niespotykaną wśród plejady naszych dyrektorów, że nie lubił rozstawać się z ludźmi, których zaangażował do swego teatru, bez względu na to czy darzył ich później sympatią czy też nie.

Toteż kiedy młody pełen w osobie Michułowicza zameldował się w gabinecie dyrektorskim wyluszczając Hellerowi swój zamiar opuszczenia Lwowa, posypały się nań gromkie wyrazy, które dopełnił jeszcze brzek słuczonego kalamarza.

Nasz wielbiciel Krakowa zostawał się ze swoim dyrektorem w okolicznościach, które zwykliśmy nazywać niesprawyjącymi. Los jednak zgodził się z jego dążeniami, a w szczególności z jego teatrem. Niestety, Heller miał tu poważnego konkurenta w osobie Pawlikowskiego — dyrektora Teatru Słowackiego w Krakowie.

wolaka, postanowił wybaczyć go z tej opresji. Oczywiście, odbyło się to za cenę nagłego zastępstwa w sztuce pt. „Pieśń nad pieśniami” z Frankfurtu.

Hellerowi zachorował właśnie aktor grający w tej sztuce główną rolę.

Michułowicz, reklamowany przez teatr, otrzymując bojowe zadanie zrobienia zastępstwa w tej roli w ciągu 24 godzin. I to w sztuce, o której nie miał zielonego pojęcia.

Pracę nad tą rolą — mówi kolega Michułowicz — rozpocząłem od płaczu i zgrzytania zębami. I byłby z pewnością odmówił dyrektorowi zastępstwa w sztuce „Pieśń nad pieśniami”, gdyby nie ostrzegawczy głos, koleżanek: „Uważaj, Stefan, bo Heller odetwawi cię z powrotem do wojska”.

Był to bez wątpienia głos rozsądny i jakikolwiek opór uważać by należało za krok szaleńczy. Następnego dnia zastępstwo udało się Michułowiczowi nadspodziewanie, zaś w kilka dni później otrzymał on z komendy wojskowej zaświadczenie o nieprzydatności do służby w wojsku. Od tego momentu Michułowicz związał się na długie lata z teatrem lwowskim. Tam też święcił swoje triumfy artystyczne, odwarżając szeregi postaci scenicznych, o których mówi się do dziś.

Najwspanialszym i szczytowym osiągnięciem aktorskim Michułowicza był Carewicz ze sztuki Gabriela Zapolskiej pod tym tytułem. Autorka, będąc już wtedy u szczytu życia, nie przestawała jednak zajmować się teatrem.

Posłuchajmy co na ten temat mówi Michułowicz, który podczas pracy nad Carewiczem zetknął się bliżej z Zapolską.

„Spotkanie moje z Zapolską odbyło się w jej domu, zgodnie z intencjami autorki. Była już wtedy poważnie chora. Niemniej przyjęła mnie bardzo uprzejmie. Nastrój jaki panował w jej pokoju był jednak przynębiający. Kolorowe kotary izolowały ją od świata zewnętrznego, tworząc specyficzny półmrok. Zapolska z miejsca zabrała się do pracy. Ustalała ze mną przeszybiała bohatera sztuki, wyjaśniała jego stany psychiczne, ukazywała jego istotne cechy charakteru. Była to duża klasy reżyseria.

Dzięki tym wszystkim wskazówkom mogłem pełniej i głębiej wgrześć się w tekst sztuki. Odczułem w niej to, czego przedtem nie byłem w stanie zrozumieć bliżej, to wszystko co przedtem sprawowało mi trudność. Spotkań takich odbyłem z Zapolską znacznie więcej

Każde następne wydawało mi się ciekawsze i bogatsze od poprzedniego. Dlatego też sukces mój w Carewiczu zawdzięczam w dużym stopniu reżyserii Zapolskiej”.

Role Carewicza grał Michułowicz 400 razy, co na owe czasy stanowiło ilość olbrzymią. W roku 1918 zaważył artysta o Rzeszów, dając w naszym mieście kilka przedświeżeń, które cieszyły się wielkim powodzeniem.

A oto co pisał o „Carewiczu” 20 października 1917 r. w „Gazecie Wieczornej” recenzent Henryk Zbierzcowski.

„Michułowicz rolę Carewicza niech zapisać złotymi zgłoskami w księdze swej kariery teatralnej. Widać było w jego grze dużo pracy i staranności, która przy jednostronnym, ale wybitnym jego talencie, dała całość, której mu szczerze gratulujemy. Pan Michułowicz zda

wał sobie sprawę, że natknął się na sposobność stanowczego wybitcia się, więc ze sposobności uczciwie skorzystał”.

Dzisiaj, patrząc z oddalenia na trud pracy kolegi Michułowicza, na drogę, po której przebiegał 50 lat nieustępliwie kroczącej naprzód, oddany bez reszty sztuce, propagując idee piękna i prawdy, doznajemy radosnych wzruszeń jakie przeżywamy zwykle w chwilach, kiedy osiągamy określony cel. A cel ten Michułowicz niewątpliwie osiągnął.

Niechże więc do życzeń jubileuszowych, do wianek kwiatów, które w dzisiejszy wieczór złoża na ręce Jubilata jego koledzy i współpracownicy — dołączy się również głos społeczeństwa naszego województwa, głos widzów i czytelników.

JÓZEF JACHOWICZ aktor PTZRZ

Notatki polemiczne

WYSOKI POZIOM?

Z DUŻYM zainteresowaniem przeczytałem w ostatnich „Nowinach Tygodnia” uwagi F. Grabowskiego o kwartalniku „Życie Kulturalne Ziemi Rzeszowskiej”. Choć jestem wielkim entuzjastą tego niezwykle pożytecznego pisma, nie mogę się jednak zgodzić ze wszystkimi uwagami zawartymi w tym artykule.

Nie jestem zwolennikiem przesadnej skromności. Niemniej zaskoczyło mnie nieco zbyt optymistyczne twierdzenie F. Grabowskiego o: „nie wątpliwie wysokim poziomie pisma”. Nie jestem pewny, czy np. koleżanki redakcyjne „Nowej Kultury” lub „Przeglądu Kulturalnego” zdobyłyby się na takie publiczne usankcjonowanie wysokiego poziomu ich pism. Sadzę nawet, że koleżanki te nie miałyby co do tego takiej pewności, jaką dwukrotnie w jednym artykule wyraża F. Grabowski.

Czy rzeczywiście „Życie Kulturalne Ziemi Rzeszowskiej” reprezentuje tak wysoki poziom? Nie jestem zawodowym krytykiem, ale nawet mnie razi nieporadny, ciężki a nieraz wręcz urągający elementarnym zasadom gramatyki, język wielu artykułów.

Szczególnie liczne kwiatki językowe zakwitły w „Lidzie nauczycielki wiejskiej”. Zależało osobliwie konglomerat niezabieganej prostoty i typowo szablonego języka sprawo zdawczego. A oto próбка: „Najpierw zrobiłam naradę.

23 października były wybory do komitetu rodzicielskiego wcześniej, bo przecież taką ilość ludzi nie nalebie, a od listopada idzie na cały gaz”.

Albo: „Samo pożyczanie książek z Grebowa 4 km, nie jest do szkoły, znow kiedys oddaj — to już mię głowa boli, bo tam jest gromadzka biblioteka: ja mam w punkcie 149 książek, które są wyczytane a tak muszę donosić, to jest ponad siły-zimno i inne sprawy”.

Przepraszam ale nie rozumiem: ani tekstu, ani też tego czy naprawdę nauczycielka nie może pisać odrobnie bardziej przystępnie. Co prawda redakcja usprawiedliwia nauczycielkę dając w komentarzu: „List jest prywatny, niema więc w nim ani odrobny lakieru, a przez to ma wymowę dokumentu”. Czy mamy to rozumieć, że w „nie prywatnych” listach musi być konieczny lakier?

Spora stylistycznych potknięć nazbierało się też i w innych artykułach przy czym prym wodzi „Kronika kulturalna”. Również opowiadanie pt. „Akordeon” nie utwierdza sądu o wysokim poziomie pisma. Posiada ono wartość historyczną jako klasyczny przykład schematyzmu z lat 1948—50. Autora usprawiedliwia chyba fakt, że nie jest to „opowiadanie prywatne” a więc... lakier dowolny.

„Encyklopedia noworoczna” zawierająca spory ładunek naprawdę celnej i dobrej satyry sprawia jednak wrażenie, że autor chciał za wszelką cenę wyczerpać wszystkie litery alfabetu. Nawet za cenę... właśnie poziomu.

Nie mam zamiaru wylizywać wszystkich większych i mniejszych błędów pisma. Są przecież w nim pozycje, które naprawdę usprawiedliwiają ambicje kolegium i pozwalają spodziewać się, że osiągnięcie wysokiego poziomu pisma jest możliwe.

Przedstawione przez Grabowskiego cele i zamierzenia kwartalnika są istotnie porównywalne i jak najbardziej zgodne z potrzebami kulturalnymi województwa. Ze swej strony dodałbym jeszcze kilka życzeń. Byłoby bardzo dobrze, gdyby „Życie Kulturalne” sięgnęło odważnie do aktualnych problemów ideologicznych, do zagadnień związanych nie tylko z formami, lecz także i treścią życia kulturalnego, by na łamach tego poczytnego pisma ukazywały się artykuły polemiczne i dyskusyjne („Polemika na szczeblu” z nr 2 jest raczej artykułem wstępny).

Zycząc kolegium redakcyjnemu pełnego wykonania tych ambitnych planów — a czytelnikom kwartalnika, by o wysokim poziomie pisma mówili nie tylko wypowiedzi członków kolegium.

J. S. kierownik szkoły Jagiella (pow. Przeworski).

ROMAN PROKULEWICZ

O NASZYM JUBILACIE



STEFAN MICHUŁOWICZ jako prof. Oriński w „Maturzystach”

W SOBOTĘ dnia 24 marca na scenie Państwowego Teatru Ziemi Rzeszowskiej odbędzie się niecodzienna uroczystość. Oto zasłużony artysta naszego Teatru, jeden z czołowych aktorów starszego pokolenia, znany nie tylko publiczności Rzeszowa, ale i wielu innych miast, ceniony przez wszystkich i przez wszystkich szczerze lubiany — Stefan Michułowicz, obchodzić będzie Jubileusz 50-lecia pracy artystycznej.

Chwila to niezwykła i naprawdę wzruszająca, kiedy spoglądając wstecz możemy z takiej perspektywy ogarnąć całokształt czyjejś działalności, ocenić nieprzerwaną codzienną pracę, która wypełniła już pół wieku. I jeżeli każdy, kto pracuje w zawodzie społecznym użytecznym, ma w sobie słusze prawo do dumy, to wydaje się, że nikt nie zastępuje na to w tym stopniu, co działacz społeczny, wychowawca, uczyony, pisarz i artysta.

Chcemy dzisiaj przypomnieć dziesiątki ról, dziesiątki najrozmaitszych postaci, jakie pozostawił nam ten wieloletni współpracownik, Romana Zelazowskiego, Ludwika Solskiego, Aleksandra Zelwerowicza, Karola Adwentowicza i wielu innych. Jako aktor kształcił się pracując pod kierownictwem takich reżyserów jak Pawlikowski, Kamiński, Solski — zdobywając uznanie ze strony krytyki teatralnej.

działach pracy przygotowywanych, o mozolnych próbach popartych studiami, doświadczeniem i obywatelstwem życia.

Pamiętamy o setkach przedstawień, podczas których przekazywaliśmy ze sceny Stefanowi Michułowiczowi wzruszał i rozveselał, zbliżał do teatru tysiące widzów trzeciego pokolenia.

Chcemy również dziś podkreślić, jak doniosłe przemiany przyniosły nam w tym czasie, kiedy Stefan Michułowicz jako 20-

letni adept sztuki scenicznej spotykał się jeszcze z pogardliwym stosunkiem ówczesnego społeczeństwa do ludzi teatru. Ludzi tych wtedy oklaskiwano, ale nie umiano ich jeszcze szanować, nie chcieli rozumieć. Wielkie przeobrażenia społeczne i ustrojowe, jakie dokonały się w naszym kraju, każdej pracy nadały zaszczytną godność, a jednocześnie podniosły znaczenie kultury teatralnej, dźwignęły pozycję społeczną aktora, o czym świadczą nazwiska ministra kultury i sztuki Włodzimierza Sokorskiego widniejące na czeluści Komitetu Jubileuszowego.

Podczas swojej długoletniej pracy aktorskiej Stefan Michułowicz występował na scenie obok wspaniałych sław polskiego teatru. Kolegował z Juliuszem Osterwą i Stefanem Jaraczem, był partnerem Kazimierza Kamińskiego, Romana Zelazowskiego, Ludwika Solskiego, Aleksandra Zelwerowicza, Karola Adwentowicza i wielu innych. Jako aktor kształcił się pracując pod kierownictwem takich reżyserów jak Pawlikowski, Kamiński, Solski — zdobywając uznanie ze strony krytyki teatralnej.

Autorka artykułu usiłuje w swych wywodach wytłumaczyć — bardzo zresztą problematycznie — dlaczego tak się dzieje. Przytacza takie argumenty jak brak towarzysza, niewłaściwy stosunek ludzi z miejscowego środowiska, brak opieki ze strony komitetów partyjnych itd., itd. — Jednym słowem wymienia różne trudności. Racja, te wszystkie momenty istnieją i wpływają niebyle jak na młodych inteligentów, lekarzy, farmaceutów a nawet agronomów, agronomów, których sawód specjalnie predysponuje do pracy nie tylko w wojewódzkim mieście, ale chyba w środowiskach o nastawieniu rolniczym.

A co wobec tego autorka powiedziała o nancycielach? Przecież ich ludzie to też absolwenci uniwersytetów, liceów pedagogicznych, studiów naukowych — a jednak ci pokonali tak sugestywny lęk przed wyjazdem na „provincję”. Chyba się z tym twierdzeniem pogodzić nie tylko autorka artykułu „Gdy młodzi boją się „provincji”, ale również i „bohaterowie” artykułu w osobach młodego lekarza, którego zabieg i troska o przydanie pracy w Warszawie kosztowały więcej niż

przeżyci 50-lecia jest bardzo rozległa, obejmuje ona obok wielkiego repertuaru poetyckiego różnorodną rolę zarówno w dramatach psychologicznych jak i w komediach klasycznych i współczesnych. Grywał Stefan Michułowicz Horacego w „Hamlecie” i szekspirańskiego „Juliusza Cezara”. Mazałę i Króla w tragedii Słowackiego, Gustawa i Albinę w „Stubach”, Wacława w „Zemście”. Odtwarzał Birbanciego w „Dożywociu” i kapelana w „Damach i huzarach”, postać w „Weselu” i księdza w „Kłótni” — Wyspiańskiego. Z równą swobodą przemieniał się w Otella i Fajarkiewicza, którym w „Domu Otwartym” bawił widownię do łez. Nie ponieć dziś podkreślić, jak doniosłe przemiany przyniosły nam w tym czasie, kiedy Stefan Michułowicz jako 20-

KORESPONDENCJE KORESPONDENCJE KORESPONDENCJE

TOWARZYSZU REDAKTORZE!

W „Nowinach Tygodnia” z dnia 10 i 11 marca 1956 r. ukazał się artykuł Barbary Drodź pt. „Gdy młodzi boją się „provincji”, w którym autorka porusza problem lęku młodych inteligentów przed wyjazdem na tsw. prowincję. Autorka słusznie czyni, podkreślając rzeczywiste oblicze stosunku młodej inteligencji do „provincji” — wyrażając się m. in. w przeszerzeniu młodzieży mającej przydział pracy do tsw. „zapadłych miejscowości”. — Jajmo! — Każdy z absolwentów nie tylko studiów uniwersyteckich, ale i szkół średnich broną się przed taką „smorą” jak praca w małych miasteczkach nie mówiąc już o środowiskach wiejskich.

pięć lat studiów, czy młoda farmaceutka, która staje się odułdkiem z uwagi na brak towarzysza.

Wydaje się to wszystko dziwną i kasmarną parodią? Jeżeli porówna się właśnie młodych pedagogów, idących bez lęku do pracy na „provincję” zdających sobie sprawę ze wszystkich trudności, które napotkają a jednak wyjeżdżają oni z entuzjazmem, aby właśnie tam na „provincji” krasawieć światło wiedzy.

Chyba zgodzimy się wszyscy, że treść artykułu Barbary Drodź, która pomija pracę młodych pedagogów jest zbyt powierzchowna, sugerująca podział młodej inteligencji na taką, która trwałowie skądinąd ma prawo, a raczej winna znaleźć miejsce pracy w ciepłych gniazdkach, inni natomiast — mam na uwadze nauczycieli — to ludzie, którzy obowiązkowo mają wyjeżdżać na tak strasznie przedstawioną „provincję”.

Zapewniam, że nie jest tak strasznie. Uważam, że młodzi, zdrowi ludzie: medycy, farmaceuty itp. na pewno podolają pracy. — Czekamy właśnie na nich. Jakże to „wysili” z miasteczek i wsi! i nie chcą wrócić do swych gniazd? Trudności wspólnie pokonamy, na pewno lepiej jak w pojedynkę.

Pytanie wyjęte z artykułu B. D. — „kiedy powstanie taka, sprzyjająca atmosfera dla młodych?”

Kiedy? — Wtedy, gdy przeszycielkami swoją bojową postawą młodych inteligentów — lęk przed wyjazdem „na prowincję”. Na pewno zwyciężył jak i my nauczyciele, których staracie się zostawił samych na „provincji”. Idźcie w ślady młodych pedagogów, którzy prócz swej pracy zawodowej stali się aktywnymi społecznikami „provincji”.

J. S.

kierownik szkoły Jagiella (pow. Przeworski).

W POPRZEDNIM artykule zapoznaliśmy się z powstaniem terasy skałno-akumulacyjnej, występującej w wysokości 30 do 60 m ponad korytem dzisiejszych rzek.

Jeśli bliżej przyglądnijemy się dolinom rzeczonym, zauważymy poniżej wspomnianej terasy coraz to niższe płaskie poziomy, zajmujące znacznie większe powierzchnie, przez to wyraźniej zaznaczające się w rzeźbie terenu. I tak w dolinie Sanu niżej terasy krakowskiej występują fragmenty spłaszczenia w wysokości 12 do 20 m nad korytem rzeki. Obserwujemy je po zewnętrznej stronie zakola Sanu w Ścinie. Na podobnych spłaszczeniach rozciągała się część Sanoka, Dynów i Bałowa. Szerokie spłaszczenie w podobnej wysokości ciągnie się od Przemysła po Jarosław. W dolinie Wisłoka rozległe, płaskie powierzchnie obserwujemy w Kotlinie Krośnińskiej. Od Sieniawy poziom ten ciągnie się po Rymanów, występuje w widłach Wisłoka i Morawy koło Haczowa oraz między Jasiołką a Wisłokiem w wysokości 15 do 20 m nad korytem rzek. Równie wyraźnie zarysowuje się koło Rzeszowa, a w dolinie Wisłoki widzimy go koło Osieka, czy w Zarzeczcu.

Spłaszczenie to buduje pokrywa akumulacyjna (w obszarze karpacczym leżąca na cokole skalnym). W górskich odcinkach dolin przeważa akumulacja żwirowa, na Pogórze i w Kotlinie Sandomierskiej wzrasta udział piasków, glin i ilów piaszczystych.

Utwory akumulacyjne są włożone w rozpięcie poziomu 30 do 60 m. Zatem po interglacjalnym mazowieckim nastąpiła ponowna faza akumulacji rzecznej związana ze zmianą klimatu. Oziębienie klimatyczne było przyczyną ponownego nasunięcia się lodolodu na ziemie Polski. Lodowiec oparł się o pas Starzych Gór i Wyżyn, dolina Wisły wnękając aż po Zawichost. Podwyższenie bazy erozyjnej w związku z nasuwaniem się i postojem lodowca wpłynęło na wzrost akumulacji rzecznej.

W Kotlinie Sandomierskiej, przed czołem lodolodu utworzyły się rozlewiska rzeczne, w których osadzały się ilły i wadocne dzisiaj w odsłonięciach na południe od Przecławia.

INTERGLACJAL EEMSKI

Z ROZCIECIA poziomu 12 do 20 m wnosimy o ponownym okresie silnej erozji rzecznej. Z ociepleniem klimatu lodowiec cofnął się na północ, a wraz z jego ustąpieniem wkroczyła roślinność leśna.

Obniżenie bazy erozyjnej, zwiększenie opadów deszczowych oraz ruchy górotwórcze ożywiły działalność wody pływającej. Rezultatem tego było rozcięcie pokrywy akumulacyjnej wraz z podstawą skalną. Rozcięcie cokołu skalnego, stanowiącego w interglacjalie ma zowieckim erozyjne dno dolin,

Z cyklu: Historia krajobrazu ziemi rzeszowskiej (VI)



KRYSTYNA KACZMAR

sięgnęło przeważnie do dna dzisiejszych dolin rzek karpacczych. W Kotlinie Sandomierskiej rozcięcie utworów akumulacyjnych nastąpiło poniżej poziomu współczesnych koryt rzek.

W tym czasie zaszła zmiana biegu Wisłoka. Opuścił on odcinek swojej doliny ciągnący się od Sieniawy na Rymanów, a zaczął płynąć ku północy na Besko, przecinając się przez pasmo wzgórz biegnących z NW na SE. Obniżenie między Sieniawą a Rymanowem wypełnione żwirami znaczy jego

napieć wywołanych kurczeniem się i rozszerzaniem skał. Skały nagrzewane w ciągu dnia rozszerzały się pod wpływem ciepła, w nocy natomiast oziębiały i kurczyły. W rezultacie następowało kruszenie się zewnętrznej powłoki skalnej i jej odpadanie.

W ten sposób z rozkruszonych skał tworzyły się pokrywa zwietrzelinowa, ulegająca stale dalszemu rozdrabnianiu. Obecnie obserwujemy ją w postaci żółtych glin, lub rumoszu skalnego. Miąższość pokrywy zwietrzelinowej zależna jest od odporności skał i rzeź-

(Niszczące form skalnych następuje również współcześnie). Ciekawą także jest ściana skalna koło Leska zwana „Kamieniem Leskim”. Występuje ona w obszarze mało odpornych warstw krośnińskich. Wyodrębnienie swe zawdzięcza temu, że jest zbudowana z nieco odporniejszego piaskowca niż sąsiednie. Pierwotny wykład skałki uległ zmianie przez dłuższą eksploatację piaskowca.

SOLIFLUKCA

Materiał zwietrzalny ulegał następnie przemieszczaniu pod wpływem soliflukcji. W obszarze periglacialnym ziemia była przemarznięta do znacznej głębokości. Zjawisko to nazywane jest „wieczną marzłotą”. W czasie lata miało miejsce odmarzanie wierzchniej partii zwietrzelnicy i nasiąknięcie jej wodą roztopową. W rezultacie następowało zwiększenie jej ciężaru i ściekanie po nieodmrażającym podłożu, stanowiącym dobrą powierzchnię poślizgu. Proces ten zwany soliflukcją, był powszechnym w obszarze periglacialnym. W wyniku działania soliflukcji następowało obniżanie wierzchołków, łagodzenie nachylenia stoków, obnażanie skały.

Materiał zwietrzalny był gromadzony u stóp zboczy przez procesy soliflukcyjne, w formie rozległych pokryw. Pokrywy soliflukcyjne charakteryzują się niejednorodnym, nieciągłym materiałem skalnym, często tkwiącym beziadnie w glinie.

Soliflukcja przyczyniła się także do powstania dolin o profilu niekawatym. Na utworach akumulacyjnych wyższych poziomów terasowych w Kotlinie Sandomierskiej i w dolinach rzek karpacczych, oraz na pokrywie zwietrzelinowej, łatwo możemy zaobserwować szerokie niecki, częściej rozcięte młodszą formą dołków, utworzoną w okresie późniejszym. Powstanie dolin niekawatych tłumaczy się zapływaniami materiałem zsuniętym ze zboczy małych dolin erozyjnych, utworzonych w interglacjalie. Zapływane były też starsze większe doliny, które z dolin wciślowych przeobrażały się w niekawatę.

OSADZANIE SIĘ LESSU

Soliflukcji podlegał też pylasty utwor lessowy pokrywa-

jący brzeżną część Pogórze i Przedgórze Karpacczego. Zalega on na garbach Pogórze do wysokości około 320 do 350 m oraz na powierzchni terasy krakowskiej i środkowo-polskiej. Miąższość pokrywy lessowej na Pogórze jest stosunkowo mała, na Przedgórzu wzrasta do dwudziestu paru metrów.

Pyl lessowy został przyniesiony przez wiatry wiejące z północy, następową w czasie wiania bardzo słabych wiatrów, względnie w czasie zupełnej ciszy.

Wyraźne powierzchnie akumulacji lessowej obserwujemy koło Pilzna, Ropczyc, Sędziszowa, Łańcuta i Kańczugi.

WYDMY

Często w lessie spotykamy soczewki piasków nawianych z Kotliny Sandomierskiej. Wiejące wiatry przesypywały i unosili luźny materiał piaszczysty złożony w Kotlinie Sandomierskiej przez wody rzek lodowcowych i karpacczych. Jeśli poruszone wiatrem wędrujące fale piaszczyste trafiły na przeszkodę, zaczynało się formowanie wydmy. Powierzchnia Kotliny Sandomierskiej jest silnie zwydmiona. Wydmy obserwujemy koło Mielca i Stalowej Woli. Formowanie wydym zachodzi również współcześnie, wszędzie tam, gdzie występują płaski niepokryta roślinnością.

AKUMULACJA RZECZNA

Soliflukcja i spłykiwanie do starczyń do okresowo płynących rzek materiału zwietrzelinowego i lessowy. Materiał ten był z kolei transportowany i osadzany. W następstwie osadzania utworzyły się pokrywy akumulacyjne sięgające do 5 a nawet 10 m ponad dno dzisiejszych rzek.

Dno doliny Sanu z końcem glacialu bałtyckiego tworzyła rozległa równina akumulacyjna, ponad którą wznosiły się wyższe terasy. Z następstw tych teras i wzajemnego stosunku do siebie możemy odczytać historie rozwoju doliny Sanu.

Epoka lodowa wywarła wielki wpływ na rozwój rzeźby Karpat i Kotliny Sandomierskiej. W Karpatach została przekształcona starsza rzeźba plioceńska, a w Kotlinie na utworach akumulacyjnych rozwinęła się nowa rzeźba dyfuwialna.

Z końcem ostatniego glacialu znaczny udział wody płynącej w kształtowaniu rzeźby, zwiastował nadejście nowego okresu (holocenowego), w którym woda płynąca będzie głównym czynnikiem modelującym krajobraz.

- 1) Klimat periglacialny — klimat obszaru położonego przed czołem lodowca.
2) Wesole — dolina o wąskim erozyjnym dnem i stromych zboczach.
3) Rzeźba dyfuwialna — rzeźba z okresu epoki lodowej.

O NASZYM JUBILACIE

(Dokończenie ze str. 2)

trafiłobyśmy nawet wyliczyć wszystkich znaczących ról Jubilata. Ale spróbujmy przypomnieć przynajmniej te postaci, dzięki którym w ostatnich latach Jubilat utrwalił się w pamięci rzeszowskiego widza: a więc biedniak Łabutis („Piszą kuguty”), robotarz francuski, maszynista Marcel Ledoux („Pociąg do Marsylii”), stary sługa Karp („Las”), zdeklarowana ziemianin Jaskrowicz („Grzech”), ojciec Sobczak („Krzywo prosto”) i wreszcie mądry, kochający młodzież wychowawca — profesor Orliński z „Maturzystów”.

Choć każda z tych postaci cechowała sugestywnie ukazane rysy indywidualności, wzbogacając ją pełną charakterystyką zarówno psychologiczną jak i zewnętrzną, przecież wszyscy stkie razem służą mogą za ilustrację całości aktorstwa Stefana Michulowicza. Aktorstwo wyrażającego prawdę wewnętrzną, aktorstwo pełnego dyskrepcji i umiaru, delikatnego w rysunku, a jednocześnie realistycznego i konkretnego. Bo sztuka aktorska Stefana Michulowicza jest dojrzała i świadoma, choć nie ma w niej nic z rutyny rzemiosła ani łatwizny, jaką podpowiada czasami innym hałaśliwy tupet, czy lekkomyślność w improwizacji. Sądzą, że wielu młodych i nie tylko młodych aktorów powinno uczyć się u tego doświadczonego artysty i skromnego człowieka — rzetelności zawodowej, skupienia, celowości w stosowaniu środków aktorskich, prostoty i zrozumienia gry zespołowej.

Z okazji Jubileuszu 50-lecia pracy artystycznej — uroczystego święta Państwowego Teatru Ziemi Rzeszowskiej, składamy Drogiemu Jubilatowi życzenia dalszej owocnej pracy na naszej scenie. Mówi nam, że Jubileusz swój obchodzi właśnie w roli profesora Orlińskiego z „Maturzystów”. Bo proszę tylko pomyśleć: czy można było wyobrazić sobie lepszą, odpowiedniejszą niż ta postać sceniczna, postać, która by skupiła w sobie tak trafnie walory osobiste Stefana Michulowicza — człowieka?

Wielko mi chyba będzie odkryć tym razem to, co aktor wniosł do roli ze swego własnego, prywatnego życia — niezmiennie uczynną życzliwość połączoną z serdecznością trochę nieśmiałą, którą szczerze wszystkim oddarza.

JERZY PLESNIAROWICZ



Dolina Sanu w okresie zlodowacenia bałtyckiego.

ławny bieg. Przełom Wisłoka koło Beska jest jednym z najpiękniejszych przełomów w Karpatach. Głęboki jar Wisłoka, o stromych skałistych zboczach i wąskim dnem, jest malowniczym zakątkiem tych okolic.

WIETRZENIE

Częste zmiany temperatury w pobliżu 0 st. C i uboga szata roślinna sprzyjały rozwojowi wietrzenia mechanicznego tj. rozpadaniu się i kruszeniu skał. Rozpad skał następuje pod wpływem nacisku za marżającej wody w szczelinach i porach skalnych, powiększającej w procesie zamarzania swoją objętość. W wyniku częstego zamarzania i odmarzania wody w szczelinach następowało szybkie niszczenie skał. Ponadto kruszenie zachodziło pod wpływem

by terenu. W obszarze Pogórze miąższość glin zwietrzelinowych rozwinętych na nieodpornych na wietrzenie piaskowcach dochodzi do około 10 m.

Koło Krosna spotykamy ciekawie, malowniczo formy skalne zwane „Przadkami”. Stwierdzono, że powstały one w klimacie periglacialnym, w wyniku wietrzenia i obnażenia odpornych, lecz silnie poszczeplinionych piaskowców ciężkowiłkach budujących grzbiet i strome stoki wierzchoła. Na stokach o dużym kącie nachylenia zwietrzelnicy nie mogąc się utrzymać zjeżdżała w dół, odsłaniając litą skałę. W szczelinach gromadziła się woda, która zamarzając rozszerzała je. W ten sposób zachodziło rozszerzanie pionowych szczelin, prowadzące do powstawania odcobnionych skałek.

WIELE pisze się obecnie o ruchu amatorów. I dlatego bardzo słusznie i potrzebnie jest wprowadzenie do „Nowin Tygodnia” rubryki „Między nami amatorami”. Wiemy wszyscy, ile trudu wymaga stworzenie na wsi zespołu teatralnego, wyszukanie odpowiedniej sztuki. Zdajemy sobie sprawę ile pracy trzeba włożyć, by wystawić sztukę teatralną. Zespół amatorski zdany jest na własne siły. Na rynku księgarskim nie ma wyboru odpowiednich sztuk, w handlu trudno nabyć kleju do wąsów, szminki itp. artykułów niezbędnych do charakterystyki. Pomimo tych wszystkich przeszkód zespoły tworzą się, pracują, dają ludności chwile bez troskiej miłej i dydaktycznej rozrywki.

Czytając artykuły dyskusyjne, w których wypowiadano się przeciw wyborowi poważniejszych sztuk teatralnych przez zespoły amatorskie stawialiśmy na bezdrożu. Bo jakżeż?

Nie można grać pięknych, dowcipnych i napisanych z artyzmem sztuk dlatego, że zespół amatorski

nie potrafi osiągnąć takiego poziomu jak zawodowy teatr? Na pewno tak jest. Trudno bowiem ludziom od warsztatów, ludziom poświęcającym czas odpoczynku dla pracy społecznej, ludziom często niewykształconym odegrać rolę tak jak artystom — z prawdziwego zdarzenia.

Czy jednak szerokie rzesze ludności pozbawione możliwości oglądania prawdziwego teatru nie mają zapoznać się z Fredrą, Baluckim, Bilzińskim, Mollerem itp. dlatego, że ich sztuki przeznaczone są dla teatrów zawodowych. Więc cóż właściwie wybierać? Bardzo nas cieszy i napawa dumą fakt, że Wydział Kultury nie pozwala wystawiać takich fars jak „Zrękowiny u Druzgały” czy „Generalna próba” — Raorta, które przed wojną były grywane z wielkim zapalem.

Na takie „sztuki teatralne” nie można liczyć, gdyż dziś na wsi jest sporo ludzi wykształconych i na wsi ludzie dużo czytają, chcą zatem widzieć coś pięknego, coś przemówi im do serca, do rozumu.

Sięgniemy trochę do fak-

tów. Pracujemy w miejscowości, która liczy kilka tysięcy mieszkańców. Mamy przy szkole komitet rodzicielski, bardzo aktywny i pracowity. Ponieważ szkoła nasza ma wiele potrzeb, na które brak funduszy w budżecie, postanowiliśmy

że są to dowcipne i wesołe komedie, które amatorzy łatwiej odegrają niż tragedie. Okazuje się, że wieś ta sztuki rozumiała, reakcja publiczności była odpowiednia i mimo że w „Panu Jowialskim” występowali ci sami aktorzy co w „Gwał-

tu co się dzieje”, jednak „Panem Jowialskim” zachwycano się ogólnie, a „Gwałtu co się dzieje” nie miało już takiego powodzenia. Kto zna literaturę na pewno odgadnie dlatego? „Pan Damaży” natomiast uzyskał takie uznanie jak „Pan Jowialski”. Mamy więc konkretne dowody, że wieś potrafi również ocenić to co piękne, co przemawia do wszystkich, mimo że nie jest pokazane w takiej for-

Miedzy nami amatorami

CHCEMY WYSTAWIAĆ DOBRE SZTUKI

mie jak powinno. Do napisania tych zdań pobudził nas artykuł Franciszka Grabowskiego. Wykazał on nam, że są ludzie, którzy dobiegają potrzebę podniesienia kultury na wsi, bo czyż niesłuszne są te słowa „czy wobec tego, uczeń szkoły muzycznej nie może grać Chopina, gdyż nie jest wybitnym pianistą”? Czy zespół amatorski nie ma grać sztuk poważniejszych dlatego, że nie będą tak wystawione jak w teatrze zawodowym?

Przy ćwiczeniu sztuki, dbamy, by każde słowo wymawiane było poprawnie, by uwydatnić to co wymaga podkreślenia, a że ruchy nasył aktorów nie są tak wytworne jak artystów zawodowych, to nam wybacza ją i widzowie i sam autor sztuki wybaczyliby na pewno, gdyby ją widział na scenie wiejskiego teatru.

Inny problem to kostiumy i dekoracje stosowane dla danej epoki. Tu już naprawdę zaczyna się tragedia. Chcąc jako tako ubrać artystów, trzeba dokazywać cudów, trzeba robić z niczego coś. Ale przy entuzjaz-

mie i dobrych chęciach moż na wszystkie trudności pokonać.

A teraz nasze uwagi, i wnioski. Aby pomóc ruchowi amatorskiemu, księgarstwo powinno być zaangażowane w duży wybór sztuk teatralnych, napisanych pięknym językiem, zawierających objaśnienia, projekty kostiumów i dekoracji, jak na przykład w wydaniu „Grubych ryb” — „Czytelnik” rok 1954.

Handel powinien zaopatrzyć sklepy w artykuły potrzebne do charakterystyki. Dla prowadzących zespoły teatralne należałoby organizować kilkudniowe kursy połączone z pobytem w teatrze i obejrzeniem dobranej wykonanego przedstawienia. Również w „Nowinach Tygodnia” powinno się pisać dużo więcej o teatrze, publikować recenzje ze sztuk i fotografie dekoracji oraz kostiumów.

W miastach powiatowych powinny powstać wypożyczalnie kostiumów (za opłatą), by zespoły mogli wystąpić w odpowiedniej oprawie. ADELA I CZESŁAW KRUPOWSCY Iwonicz-Wieś

